

depozycie, już prawie straciłem nadzieję, że ujrzę kiedyś światło dnia! Ale ja się nie skarzę, mogło być gorzej! Słyszałem, że dusza tego Bento, Barucha czy, jak kto woli, Benedykta Spinozy, dostała się na koniec, razem z całym inwentarzem, jego gospodyni, a ta nieuczona kobieta, niczego nieświadoma, używała jej przez wiele lat jako... szprycy do robienia lewatywy!

A Gumajka nie jest niczemu winna — to wszystko przez ten śmietnik, Panie!

Przez śmietnik bez początku i końca, góry i dołu, ważnego i nieważnego, gdzie chwile dodają się jak ziarenka piasku w klepsydrze, wiatr wszystko miesza, a fragmenty z najodleglejszych zakątków nieustannie zamieniają się miejscami, jakby chciały choć przez chwilę zakosztować bytu, który nie został im dany: ból zęba staje się zepsutą okiennicą, stukającą na wietrze, samotność — kamieniem w gardle, dusza — żelaznym drakiem, a zmęczenie... Zmęczenie jest wistocie ulicą Parkową, na wysokości Bulwaru Olimpijskiego, kiedy wracamy tamtędy każdego wieczora. Gumajka brodzi co dnia w śmietniku po kolana, mozolnie przymierza do siebie wzajem krawędzie zdarzeń, lecz one, obojętne i obce w jej rękach, tylko prześlizgują się po sobie i nie dają zadzierzgnąć.

A czasem coś takiego się z nią robi... sam nie wiem, jak to powiedzieć. Biję mną na oślep, że nawet szczury się jej boją! I co ona wtedy wykrzykuje! Jezu Chryste! Że wynikanie soboty z piątku nie jest aż tyle warte, żeby na nim oprzeć całe życie! Że jej potrzeba jakiegoś Ostatecznego Wiązania, czegoś naprawdę solidnego, czego mogłaby się chwycić! Czegoś nieśmiertelnego jak...

Gumajka

Iiiiiijaaaaahoooo!

Z drogi śmierzdzizadki!

Z drogi szczury i gołębie!

Zamykamy bufet dla wron i karaluchów!

Teraz ja się będę tutaj gościć — będę jadła, będę piła, będę się weseliła! Iiiiiijaaaaaaaahooooooo!

Ale... czemu my tacy okrutni, nie wiesz ty przypadkiem, Urielu? Na żyznym śmietniku każdy się pożywi, i miejsca starczy dla każdego. No to posuńcie się tylko, ścierwojady, i zasiądźmy do stołu razem — w zgodzie i miłości!

A ty mi pomóż, Amsterdamski Drucie! Zajrzyj szybko do kubła, zobacz, co my tam dzisiaj mamy?

Mów, co widzisz, kochaniutki! Syto jest? Coś taki milkliwy? Skorośmy już zostali przenicowani na lewą stronę rzeczywistości — cieszymy się ze skarbów, które zsyła nam strona prawa! O, weźmy ten kawałek: czy nie jest piękny? Szczególnie, jeśli spojrzeć nań: o tak! Nie! Raczej z drugiej strony... Albo pod światło... Ech, nie ważne, Urielu, ten fragment, chwała Bogu, nie musi już być żadną tandetną sosjerką ani wazonem, zbuntował się przeciw własnym krawędziom, umknął kształtowi, wyr-

wał się CAŁOŚCI — choć widzę, że nieźle przy tym oberwał! Za to teraz, na szczęście, nie ma już żadnych zobowiązań... Tylko fragmenty są naprawdę wolne, Urielu, bo są do niczego — i do niczego nie służą.

Ejże, popatrz, jaki z niego wykwinął kapelusz! Ponoś go trochę na głowie, żeby mu zrobić przyjemność. Każdy śmietnik jest pomnikiem wolności — tylko tutaj każdy może być tym, czym chce! Ty również, Dzido Starozakonna, nie zaprzeczaj! Sam to przecież wszystko wymyśliłeś, co nie? O Boże!!! A jeśli on wcale nie chciał być kapeluszem? Tylko... statkiem kosmicznym? Lepiej zostawmy tutaj naszego małego buntownika, niech go raczej znajdzie jakieś dziecko, chociaż, powiem ci, że już chciałam go sobie schować do torby.

A to co takiego?! Patrzaj no, Urielu, jak się to-to scepilo miłośnie jedno z drugim i ani myśli puścić! Wygląda jak idea równości przerośnięta pierzem i kocim gównem... Gdzie indziej pewnie by w ogóle na siebie nie spojrzeli — jak ty i ja — ale tutaj, to co innego! Popatrz tylko, jak się oni w sobie rozsmakowali! Zaprawdę, powiadam ci, Urielu, że w tym kubie pod zamkniętą pokrywą straszne panuje wyuzdanie i zuchwałość w przenośniach — wystarczy, że przez tydzień śmieci nie wywiozą, a już się rzeczy sednem wymieniają, sensem rajfurzą — ferment, aż w nosie kręci! Rzeczywistość zażywa tu wolności, jakiej nawet Ty, Panie Nasz, Stwórco Jedyny, nie miałeś w czasie sześciu dni stworzenia... I dzięki Ci za to!

A ty się nie tłucz tak, Urielu, bo nas znowu mieszkańcy przegonią!

I coś tam znów takiego wynalazł? Uuuuuuuuuuu... Widziałeś kiedy co piękniejszego? Całkiem nowiutki i wy-

starany w szczegółach: zobacz, Urielu, jakie ma paznokcie, włosy, rzęsy — eleganckie wykończenie, nie ma co! Aż dziw, że nikt go nie potrzebował. I jaki spokojny — śpi sobie smaczno, nieżywiak. Coś tak ucichł, Urielu? Przestań się trząść — on już się nie obudzi, więc do roboty, jamę trzeba mu zaraz w ziemi wydłubać, zanim się szczuryska dowiedzą. A z ciebie jest szpadel grabarski pierwsza klasa! Tobie zaś, okruszku, imię damy, bo ci się ono należy, jak psu zupa. I nie byle tam jakie, ale mocne, lite, bo na co komu życie, choćby i najlepsze, kiedy mu nazwy brakuje? A wiesz ty, że jak się dobrze w imię utrafi, to i z samego jego brzmienia taką nić barwną żywota można wysnuć, że ho, ho! Już wiem! Będiesz się nazywał: Kazimierz.

Kaz-i-mierz? Ka-zimie-rz? Ech, nieboraku! Nie na ciebie ta kapota! Za duża, za zimna, i jakoś tak zgrzyta pod zębami...

Może... WALDZIO?

Tak, Wal-dzio! Waaal-dziii-oooo! W strugach deszczu, w małym okienku zamykanym na haczyk, twoja twarz mięknie i rozmywa się, zupełnie jak twoje imię. Kiedy przesuwasz palcem po wilgotnej szybie, palec woła do ciebie: „dziiiiiooooo”. Coś mi się zdaje, że nigdy nie nauczyłeś się chodzić, w każdym razie nie tak jak inne dzieci. Zostałeś pisarzem, głównie, zdaje się, bajki o zwierzętach. „Odnowił gatunek” — mówili o tobie. Najlepsze były te o rybach i wodnych ssakach. I jeszcze, że „wyobraźnia bezbrzeżna” ktoś napisał, co właściwie brzmi śmiesznie, bo ty przecież całe życie tylko tyle, co w tym okienku...

Skończyłeś, Urielu? No to jeszcze kamieniem przywalić trzeba, niech odpoczywa w spokoju. A i nam odp-

czynek się należy, bośmy spracowani i jeść się chce. Ty koło mnie, panie Gabrielu, o tu! Patrzcie no, ludziska, jaki mi się kawaler trafił na stare lata! Lecz, Bóg mi świadkiem, że twardszego bym nie znalazła!

Zjesz coś, kochaniutki? Nie? A to i ja nie będę, bo po co? Je człowiek, je, a w środku i tak pusto. Jakby kto całutką duszę ze mnie wydryłował. Kiedyś tak nie było, o nie! Kiedyś byłam taka pełna, jeszcze jak Rudolf żył. Ledwie się do mnie zbliżył, a zaraz mnie wzdymało jak gumowy balon... Chodziłam wtedy taka ostrożna, radosna, a Rudolf się tylko śmiał. „Żeby cię wiatr nie porwał” — mówił i owoce mi z targu przynosił, trochę tylko nadpsute. Ale potem, kiedy przychodziła moja pora, to coś jakby westchnienie ze mnie uchodziło — takie cichutkie i słabe, że ledwie imię mogło ze sobą unieść. I tyle!

Imię — dobra rzecz. I potrzebna, dla pamięci, więc mi się z tego został na koniec pęczek imion do niańczenia, a każde, mojego oddechu uczepione, wyżywić się chce! No to gadam — bo co umarli mają z tego życia oprócz mojego gadania?

Tak sobie myślę, Urielu, że samotność to musi być coś twardego i kanciastego, jak kawałek szkła albo kamień. Pamiętam ten dzień, kiedy cię zobaczyłam pierwszy raz — taki piękny słoneczny dzień, nigdy go nie zapomnę — Rudolf wtenczas jak raz u Świętego Józefa skonał! Raka dostał. Mój Boże, to była jedyna rzecz, jaką w życiu dostał, a ja budzę się i czuję, że kamień mam w gardle. Myślę sobie: skąd on się tam wziął, czy w jedzeniu był czy co? Ale zaraz coś mi mówi, tam w środku: „przecież to od Rudolfa ten kamień!” Więc poszłam zaraz tego dnia na wysypisko, żeby chociaż na buty do

trumny nazbierać, a może i garnitur jaki by się trafił? Chodzę tak i chodzę, bo śmieci świeżutkie nawieźli, jeszcze domem pachnące, i widzę, ile się tam duszyczek poniewiera, połamanych, pękniętych, porzuconych — prawdziwy czyściec, myślę sobie. I że też nikt już dzisiaj tego nie chce, choćby na pamiątkę, albo dzieciom pokazać? Aż tu patrzę i widzę: patyk jakiś leży czy drąg. Leży sobie i wygląda wcale szlachetnie! Żadnej rdzy, solidny, a gładki, że aż lśni! Ja od razu wiedziałam, że ty, Urielu, z odległych czasów i stron do nas przywędrowałeś, bo takich dusz jak twoja teraz już nie robią — teraz to tylko jednorazówki, a w Ameryce, to tylko papierowe, że niby środowiska nie psują i re... rec... rezurekcja prostsza. Noo, to jakem ciebie zobaczyła, Urielu, takiego opuszczonego na obcych śmieciach — od razu wiedziałam, że będzie z nas para!

Ty jesteś wielce uczoną laską, Urielu, więc jak ci się zdaje: czy śmieci zostaną zbawione? Bo taki tu bałagan, wszystko leży na kupie. Ale jakby się kto taki znalazł, co by oddzielił światło od ciemności, papier od metalu, a metal od szkła... kolorowego, ooooooooooooo! Wtedy od razu byłby porządek w odkupieniu!

A wiesz, jak jesteś taki mądry, to poszukaj mi czegoś do picia, bo... zimno. Tylko się pospiesz, kochaneczku, bo już mną zaczyna trząść — straszny nadciąga chłód, a ty, jak tylko zechcesz, to zawsze potrafisz coś wyszperać... W ostateczności może być dykta.

Ruszaj się żwawo! Szukaj, bo czas się kończy, bo już zupełnie przetrawiony został w pamięć, przez ludzkie ręce przesiany, wlecze się teraz w ogonie ostatniej komety jako bezkresny śmietnik...

Mówiłeś coś, lasko Arona? Czy ja dobrze słyszę? O tak, znam ten dźwięk! Lubię, kiedy tak do mnie mówisz, podporo mojej starości!

Proszę! Butelczyna jak się patrzy! Nieduża, owszem, ale za to ciężka! Popatrz no, Urielu, ona tam coś ma w środku — pewnie okręt. To dobrze — okręt lubi pływać!

Ależ dziwnie zamknięta i tak mocno, że odbić nie da rady. Chodź tu, Holenderski Pogrzebaczu, szyjkę małpeczce przetrącimy, łeppek ukręcimy i wyrzucimy... Czekaj! To przecież wcale nie okręt! To... świat! A pośrodku góra — na niej różgami żęty wisi na krzyżu, a pod nim dwaj ludzie stoją, tacy maleńcy... Jeden włócznie trzyma w ręku, całkiem do ciebie podobną, Urielu, i patrzy na mnie, jakby na coś czekał. Jezu Chryste, z jaką on patrzy złością! Mruga do mnie i krzyczy! Nie da rady, Urielu, trzeba zaraz butlę rozpić, bo się wścieknie, malutki. A tak się zaburdiuczył, jeszcze chwila, a szkło rozsadziiiiiiiiiiiiiiii-ooooooooo!

To koniec... Urielu...

Tylko się mnie mocno chwycić, żeby nas wiatr nie rozdzielił! Skąd on się tu wziął, czemu tak wieje? Gdzie ty jesteś? Nic nie widzę, bo ciemność, i ciało chłodem mi wzbiera, ale mnie nie zostawiaj — jak wiatr ucichnie, pójdziemy dalej, ty i ja, bez ciebie rady nie dam, duszo moja, żeby tylko ten wiatr już przestał... żeby przestał tak wiaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa...

Longinus

Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!

Co za piekielny wiatr, Stefatonie!

Od kiedy tu stoimy, a będzie tego... sam już nie wiem, nigdy jeszcze takiego wiatru nie było. Żeby nam tylko czego złego nie nawiał!

Przez ten wiatr, Stefatonie, trudno prawdę pochwycić, tak straszliwie rozproszyły się wszędzie przyczyny i skutki! O, ten tam, na Górze, z nich trzech najwyższy, mówią, że cuda robił w wolne soboty, ale czy to teraz pewne?

A do gęby tyle piachu mi nawiało, że chociem jeszcze nie umarł, już mi się zdaje, że ziemię gryzę! Tfu!

A zresztą: skąd mam wiedzieć, że nie umarłem? I czy jutro albo, dajmy na to, za trzy dni nie wstanę, żywy i cały? Czas, poszarpany tym przeklętym wiatrem, jest jak poputa pajęczyna — niczego już nie może złapać w swoją sieć. Żyjemy w przyczynowo-skutkowej diasporze, Stefatonie! Resztki naszego życia rozłają się po cudzych biografiach — przeznaczenie, które bez słowa opuściło cię przed laty, nagle do ciebie wraca, jak gdyby nigdy nic, z obcym spojrzeniem w oku, skruszone chorobami, i skomli, żebyś je przyjął z powrotem!